

Warszawa, dnia 22 Sierpnia / 3 Września 1870 roku.

№ 35. Cena w Warszawie 25 kop. miesięcznie — na Prowincji: rs. 1 kop. 20 kwartalnie (w tém mieści się już opłata pocztowa za przesyłkę kop. 11¼, oraz za opakowanie i ekspedycję kop. 33¾). **Redakcja** w Warszawie przy ulicy Solnéj pod Nr. 715.—**Skład główny** dla pp. Księgarzy *w Warszawie* w księgarni Ferdynanda Hösicka, ulica Senatorska Nr. 496, i tamże urządzona jest skrzynka na listy adresowane do Redakcji. *W Poznaniu* u **Leitgebera**, we *Lwowie* u **Wilda Karola**, w *Żytomierzu* u **Budkiewicza** księgarza. **Rok VI.**



Jerzy Peabody. — (Strona 388-ma).

Od Redakcji.

Mając na względzie naszych prenumeratorów z prowincji, wcześniéj jak zwykle ogłaszamy prenumeratę na Kwartał IV *Opiekuna Domowego*, w stosunku rs. 1 kop. 20 (złp. 8); przekonaliśmy się bowiem: iż zwłoka albo nieporządek w odbiorze, zwłaszcza pierwszych numerów pisma naszego w każdym kwartale, powstaje przeważnie z opóźnienia się w nadsyłaniu pieniędzy prenumeracyjnych do Redakcji lub z używania pośrednictwa osób trzecich, które najczęściéj zawodzi. Oświadczamy więc wyraźnie: że tylko wcześnie wprost pod adresem Redakcji *franco* nadsyłana prenumerata, uchrania prenumeratora od nieregularnego otrzymywania pisma, które dla niego jak i redakcji, jest wielce nieprzyjemnem.

Wydając „*Opiekuna Domowego*,“ wraz z bezpłatnie do niego dodawaną „*Czytelnią Domową*“ z całą sumiennością, niepotrzebujemy jak tylko zwrócić się do uznania pracy naszéj przez samą czytającą publiczność, które to uznanie uwydatnić się najlepiéj może w powiększonéj liczbie prenumeratorów, a czego mamy słuszne prawo spodziewać się w nadchodzącym Kwartale IV, tembardziéj: że kilka prac zamówiliśmy do obu tych wydawnictw, przez zdolnych i znanych zaszczytnie w piśmiennictwie naszem autorów, skreślić się mających.

ZAGRANICZNE WYCHOWANIE

NASZYCH PANICZÓW.

(Dokończenie, patrz Nr. 34-ty).

Odtąd, wypadki zaczynają już niezmiernie szybko następować po sobie. Jak kamień, strącony nieuważną stopą lub burzą ze szczytu wyniosłéj góry, stacza się najprzód powolnie, a potem własnym party ciężarem coraz większym pędem spieszy w ciemną otchłań, która go na wieki w swoich niezbadanych głębiach pochłania, tak Gustaw, ślizgając się początkowo wesołym ale chwiejnym krokiem po spadzistéj drodze swéj zguby, zsuwa się coraz szybciéj z wysokiego na jakiem go los postawił stanowiska, w tę straszną przepaść, z któréj ani kamień, ani człowiek do niéj strącony, nigdy już nie powraca. Ciężka to jest droga, do téj otchłani wiodąca. Kamień, spotkawszy twardsze od siebie zawady, nie raz się w téj drodze na drobne szczątki rozpryska, wnosząc tylko resztki swojéj niegdyś całości do tego otwartego dlań grobu, a cóż dopiero człowiek? Ten, chociażby nawet najprzytomniejszy, spadając i widząc nieuchronną zgubę, czepia się jeszcze wszystkiego, coby go tylko ocalić od téj zguby mogło. Próżna to nadzieja, ale zawsze jeszcze nadzieja! Czyliż nie było i nie ma cudów na świecie? Chwyta się tedy ów człowiek odurzony wszystkiego, co w téj drodze napotkać może. Ale niestety! nie ma już dla niego deski zbawienia. Tu, okaleczy ręce i nogi na dzikim, krzemienistym gruncie, którego się dotykać musi, a zranione ręce i nogi krwią swoją broczy, tam znowu potrąci głową i cała głowa krwią się oblewa; gdzie indziéj wreszcie całe już ciało jego odbijając się o spotkane w tym upadku skały, zostaje poranione do niepoznania, aż w końcu runąć musi w otwartą czekającą go otchłań. Gustaw takąż samą drogą spadał coraz niżéj. W rozpaczliwych wysiłkach, tu zbrukał ręce, tu nadwerężył sumienie, tam obraził honor rodzinny i... runął, bo runąć musiał.

Czepiał on się po téj drodze najprzód nadziei sukcesyjnych, te się nie ziściły; potem gry, ale i gra go zawiodła. Czepiają się tego ostatniego haniebnego środka wszyscy, co nie mają męzkiego hartu duszy i nie czują w sobie dostatecznéj siły do rozumnéj pracy.

Nareszcie niecierpliwiący się oddawna wierzyciele Paryzcy, nie chcąc i nie mogąc już dłużéj czekać na odzyskanie przypadających im należytości, sprzedali ów śliczny pałacyk Gustawa, z wszystkiemi znajdującemi się w nim sprzętami; takiż sam los spotkał powozy i konie. Służba opuściła dom, a pan jego przeniósł się do swéj przyjaciółki, która nie ze szczególną skwapliwością i chęcią przyjęła do siebie tego, który dotąd otaczał ją dostatkiem, dogadzając niewolniczo wszelkim jéj zachciankom i kaprysom. Była to może największa dla niego boleść, bo nie był na taką przygotowany niewdzięczność ze strony kobiety, która jego kosztem nie mały zebrała sobie już kapitał. Za stratą majątku, usunęli się także dawni niby przyjaciele i ów Gustaw, niegdyś tak czule od wszystkich kochany, ujrzał się sam jeden na świecie ze swoim smutkiem i niewczesnym żalem. Tak się działo w Paryżu, a w domu rodzinnym, w kraju?....

Tam jednocześnie prawie, wielki miljonowy majątek rozpadł się na części i w obce przeszedł ręce. Z całego mienia, zacny rządca, wierny sługa ojca Gustawa, stary kawaler, kosztem własnego przez całe życie skrzętnie ciułanego kapitaliku, nabył z niego na swoje imię jeden maleńki folwarczek, do którego domu mieszkalnego przeniósłszy niektóre pamiątkowe sprzęty z pałacu Dębickiego, jakie z ogólnego rozbicia ocalić zdołał, zaprosił potem serdecznie swego niedawnego jeszcze pana, ofiarując gościnnie całe swoje szczupłe mienie na jego usługi.

I Gustaw zawiedziony we wszystkich swoich marzeniach i nadziejach, opuszczony od całego świata, znalazł przytułek tam, gdzie najmniéj miał prawo go się spodziewać, znalazł go u poczciwego szlachetnego człowieka, dawnego sługi. Najzamożniejsi krewni znając jego smutne położenie, nie przyszli mu z pomocą; gdy tymczasem obcy, z którym go nic nie wiązało, któremu życiem i postępowaniem swojem nie jedną wyrządził przykrość, z zaprzeczeniem samego siebie, zapominając o sędziwych latach swoich, wygodach i potrzebach jakich starość się domaga, pełnem, życzliwem sercem ofiarował mu dobrowolnie to wszystko, na co krwawo przez wiek swój cały pracował.

Gustaw przyjął tę wspaniałomyślną ofiarę chwilowo tylko, bo durzył się jeszcze nadzieją, że z powrotem do kraju przy licznych stosunkach familijnych, wsparty spodziewanemi sukcessjami, a potem ożeniony bogato, wkrótce przyjdzie do dawnego świetnego położenia. Przybył więc w strony rodzinne, chociaż ubogi pieniężnie, ale opakowany jeszcze wszystkiemi zbytkami najświeższéj mody Paryzkiéj. Dawny rządca przyjął go z takiemże samem uszanowaniem, z jakiem go przyjmował za najlepszych czasów, przyjął go jakby pana przybywającego nie do obcego, lecz do własnego domu i ze

łzami najtkliwszego rozrzewnienia oddał siebie i wszystko co posiadał na jego rozkazy.

Gustaw nie był złym człowiekiem; zrozumiał więc całą szlachetność duszy zacnego w tych ciężkich chwilach, jedynego dobroczyńcy i przyjaciela. Nie omylimy się, jeżeli powiemy, że on dopiero pierwszy raz w życiu swojem przekonał się czem jest kraj rodzinny i poznał jacy to w tym kraju są jeszcze ludzie. Sędziwy rządca stał się w téj chwili najszczerszym przyjacielem, najzaufańszym powiernikiem Gustawa, który mimo głęboko wkorzenionych narowów pańskości, obchodził się przecież z nim tak, jak tego wiek i złote sorce starca wymagały.

Wypocząwszy po trudach podróży, wymuskawszy i przystroiwszy Paryzkiemi przyborami jeszcze przystojną, ale niezmiernie zmiętą i zużytą personę swoją, ten Gustaw, który tak niedawno najpiękniejszemi powozami i końmi rozbijał bruki stolicy Francji, wybrał się teraz prostą, ale zgrabną szlachecką najdyczanką swojego przyjaciela, wyładowaną kilku tłomokami niezbędnych rzeczy i rupieci i w parę zwinnych domorosłych zaprzężoną siwoszków, na objazd swoich krewnych. Pierwsza wizyta była do stryjaszka. Stryjaszek ten, człowiek sześćdziesięcioletni, ożeniwszy się przed trzema laty, przedstawił mu młodą i piękną żonę, oraz dwóch malutkich jeszcze, ale pełnych nadziei synków, przyszłych swoich sukcessorów. Gustaw, zabawiwszy w tym miłym, ale nieprzedstawiającym mu żadnych nadziei domu, cały miesiąc, wyruszył następnie do swego wuja, który będąc od lat kilkunastu bezdzietnym wdowcem, znękany bezcelowem samotnem życiem, krzątał się właśnie bardzo energicznie, około młodéj jeszcze, a bogatéj wdówki, która zdawała się być bardzo skłonną do podzielenia dalszego żywota z sędziwym swoim sąsiadem. I tu, Gustaw rozpatrując się w stanie rzeczy, bawił znowu kilka tygodni. Lecz zdybany przez wujaszka na jakichś podejrzanie czułych i żywych affektach dla przyszłéj wujenki, wyprawiony został w sposób najdelikatniejszy lecz stanowczy do dalszych kuzynów. Kuzynowie ci *dii minores*, to jest mniéj zamożni i mniejszego znaczenia od poprzednich, przyjmowali go wszędzie jak najserdeczniéj i najgościnniéj, dowodem czego były prezenta, z jakiemi do folwarczku swego powrócił; przywiózł bowiem z sobą siedmioro najpiękniejszych szczeniaków rozmaitéj: charciéj, wyżléj i gończéj rassy, a z niemi jednego starego jamnika, który w swoim podeszłym wieku, miał być jedynym do tępienia... kretów, tych mniemanych szkodników wszelkiéj roślinności. Każdy z powyższych domów, Gustaw opuszczał z głębokim żalem, a jednakże szczerze mówiąc, wracał chętnie do swego nowego gniazdka, bo wracał z tem nieomylnem przekonaniem, że zastanie w niem ręce otwarte na jego przyjęcie i serce, które go szczerze przytuli. I znajdował też to wszystko w owym skromnym domku, lecz nie znajdował nic z tego, czem dawniéj żył w świecie; było mu tu za ciasno, za smutno, za ubogo. Tęsknił więc za przeszłością, bo z teraźniejszości korzystać nie mógł i nie umiał. Praca jakakolwiekby ona była, wydawała mu się zbyt ciężką, a nawet poniżającą; od zajęcia zaś umysłowego odwykł zupełnie. Więc cóż miał robić? powtarzamy: tęsknił i nudził się okropnie. Przejażdżki po sąsiedztwie, nie przedstawiały mu na to żadnego środka; albowiem pośród ludzi majętnych czuł się upokorzony dzisiejszem swojem położeniem; zaś ludzie miernych lub szczupłych zasobów, nie garnęli się do towarzystwa zrujnowanego panka. Jednem słowem, Gustaw, który przed kilku laty mógł być w kraju rodzinnym jednym z najszczęśliwszych ludzi, teraz znalazł się w nim człowiekiem obcym prawie, którego swoi odpychali, a dalsi przyjąć nie śmieli.

Znękany takiem życiem, zebrawszy jeszcze niektóre pozostałe kosztowności, jakie po spieniężeniu, dosyć sporą summę przynieść mu mogły, zmyślił przed starym przyjacielem jakiś ważny interes i wkrótce po powrocie do domu, wyjechał do Warszawy. Sprzedaż kosztowności nieźle mu się powiodła; mogła mu albowiem wystarczyć przynajmniéj na cały rok więcéj niż dostatniego utrzymania w stolicy. Nie pomny na to, że to był już ostatni środek, nie mówię podparcia bytu, ale przy roztropnem użyciu, zapewnienia przyszłości, Gustaw namiętnie rzucił się znowu w towarzystwo ludzi podobnie jak on sam bezczynnych. Swawola wszelkiego rodzaju, a przeważnie gra, stanowiły cały niemal wątek jego teraźniejszego życia. Ślepa fortuna błysnęła mu jeszcze raz nadzieją i na niéj też oparł wątłą budowę swojego istnienia. Wkrótce atoli szczęście się zmieniło. Na grzezkim gruncie oparta przyszłość Gustawa chyliła się coraz widoczniéj do upadku i utonęła też nareszcie w bagnie, na jakiem ją tak niebacznie fundował.

I jeszcze kilka miesięcy wegetował w stolicy posiłkując się stosunkami licznych znajomych; ale były to już stosunki tak naprężone, utrzymanie ich stawało się z każdym dniem tak trudnem, że tylko najgrubsza bezczelność mogłaby z nich użytkować. Gustaw stracił już wszystko, oprócz tego co jeszcze w swojem rozumieniu za honor poczytywał.

Otóż ten honor, tak przez niego pojmowany, doradził mu porzucić ostatecznie pole, na którem najważniejszą część młodości swojéj przepędził. Opuścił je więc wprawdzie z rozpaczą w duszy, bo już nic nie widział przed sobą, ale jednak opuścił i wrócił po raz trzeci w rodzinne strony, by tam na wspaniałomyślnie ofiarowanym mu pięknym kawałku ziemi, nie w pracy, ale w bezczynnéj martwocie, dalszy nikomu niepożyteczny żywot prowadzić. Jedyny po ojcu dobroczyńca jego, dawny przyjaciel rodziny Gustawa, zeszedł w kilka lat potem ze świata, zostawiając go wyłącznym właścicielem folwarku. Czy Gustaw uszanował wtedy pamięć zacnego człowieka wzięciem się do gorącéj pracy, którąby mu na wdzięcznéj ziemi sowicie poniesione trudy wynagrodziła? O! nie... On wystawił wprawdzie na jego grobie pomnik kamienny z napisem: „Tu spoczywają zwłoki wiernego sługi i przyjaciela rodziny D***;“ ale w miesiąc potem sprzedał folwarczek wraz zgruntem, na którym te czcigodne zwłoki pochowano i wyjechał do jednego z dalszych krewnych swéj matki, starego kawalera, który rad niezmiernie jego przyjazdowi, przyjął go i traktował lat kilka niby własnego syna; lecz sędziwy krewny Gustawa, umierając zapisał cały swój majątek, bliższéj od kochanego kuzynka rodzinie, jemu zaś tylko parę dobrych koników, bryczkę którą sam jeździł i ulubioną antypkę. Temi końmi, tą bryczką i z tą antypką nasz dawny pan, dzisiaj już stary kawaler, jeździ od komina do komina. Lubią go wszędzie,

bo zawsze to człowiek, który w Paryżu stracił majątek, który zna Paryż doskonale, który szczebioce wybornie po francuzku, który przy wątłem zdrowiu, ale dobrym apetycie i tęgiéj głowie, umie lepiéj od innych bawić płeć piękną, który strzela jak Nemrod i zna wybornie wszystkie gry komersowe i nie komersowe. Oto jest żywy przykład chybionego wychowania zagranicznego, przedstawiony tylko z ujemnéj strony, gdyż niesprawiedliwem byłoby twierdzenie, że wychowanie zagraniczne tylko szkodliwe sprowadzić może następstwa. Późniéj damy znowu inny artykuł, wykazujący korzyści, jakie ono dla chcących rzeczywiście pracować, przynieść może.

JERZY PEABODY.

„Peabody umarł". Te lakoniczne wyrazy, któremi angielskie gazety podały światu wiadomość o zgonie jednego z największych dobroczyńców ludzkości, zastąpiły zapewne pochwały, jakiemi najbieglejsze nawet pióro próżnoby usiłowało uwiecznić pamięć zgasłego wysokich zasług męża i rozgłośnem echem odezwały się równię w Anglii jak i w Stanach Zjednoczonych; nie ma tam bowiem zapewne nikogo, równie w najwyższych jak i w najniższych sferach społeczeństwa, komuby było obce imię człowieka pragnącego obdzielić swem szczęściem na niższych szczeblach towarzyskich stojących współbraci. Dla nas wszakże nie biorących udziału w darach hojną ręką sypanych, przez Anglo-Amerykanina, ciekawą zapewne będzie chociaż krótka wiadomość o jego życiu i czynach, dających mu sprawiedliwą nazwę Dobroczyńcy ludzkości.



„Ludzie? czy szakale?" — (Strona 392-a).
(Rysunek Artura Grotgera).

Rzadki to zapewne traf, iżby umiejętną ręką kierowana praca, wspierana nawet nie przerwanem szczęściem i powodzeniem, doprowadzić zdołała do tak zdumiewających wypadków jakie osiągnął Peabody; lecz nierównie rzadszem zapewne jest, iżby ulubieniec fortuny wyszedłszy ze średnich warstw społecznych i stanąwszy na wysokim szczycie bogactw i dostatków, zwracał ciągle wszystkie swoje dążności do téj towarzyskiéj warstwy, która w próżnych usiłowaniach do wydobycia się z pod ucisku codziennych potrzeb, cierpi pod naciskiem niedostatku a często nawet ginie w nierównéj z nim walce.

Jerzy Peabody zmarły w Londynie dnia 4 Listopada 1869 roku, w wieku lat 74, urodził się w Denver dnia 18 Lutego 1795 roku, z zacnych lecz ubogich rodziców. Uczęszczał do szkoły ludowéj w rodzinnem swojem mieście na nauki, któremi brak funduszów, krótki tylko przeciąg czasu zajmować się mu dozwolił; już bowiem w siódmym roku życia wszedł jako uczeń do handlu, gdzie wzorowem postępowaniem, pilnością i pracą zjednał sobie najzupełniejsze zadowolenie. — Po pięcioletnim pobycie wyjechał do swego starszego brata Dawida w Nowym Yorku, któremu pomagał w handlu bławatnym; tu jednak nie długo zostawał, gdyż pożar zniszczył dom i cały magazyn, i wskutek tego zmuszonym był gdzieindziéj szukać zajęcia i przytułku. Znalazł je wkrótce u swego stryja w Georgetown w Kolumbji. W r. 1812 wybuchła wojna Ameryki z Anglją, a gdy Washington przez flotę zagrożonym został, stryj pospieszył na pomoc krajowi i jako ochotnik wstąpił do wojska, a odznaczywszy się męztwem i zdolnością wkrótce doszedł do stopnia jenerała. Zajmując tak wysokie stanowisko namówił bez trudności młodego Peaboda do naśladowania jego przykładu. Po ukończeniu wojny przyjął młodego człowieka, którego zdolności były już znane, bogaty kupiec nazwiskiem Rigs, jako wspólnika do handlu bławatnego; ten przy pomocy Peaboda stanął tak świetnie, że po upływie lat siedmiu mógł już załatwiać nader ważne interessa pieniężne w Nowym Yorku i Filadelfji.

W roku 1829 Rigs usunął się, a Peabody został sam właścicielem domu handlowego; od téj chwili zaczyna się świetny szereg szczęśliwych jego finansowych operacji: jakoż wkrótce stan Maryland ufając jego prawości i zdolnościom, powierzył mu do załatwienia wielkie i ważne interessa pieniężne, w którym to celu odpłynął po raz pierwszy do Europy. Powodzenie a bardziéj jeszcze gorąca chęć po-

łączenia ścisłemi węzłami przyjaźni i stosunków handlowych Amerykanów z Anglikami, nasunęły mu myśl zamieszkania w Londynie, którą wykonał w dziesięć lat późniéj.

Przybywszy do Londynu, Peabody założył bank, który wkrótce został ogniskiem wszelkich obrotów pieniężnych dla Amerykanów, zamieszkałych w Anglji, a nadto pośredniczył w stósunkach finansowych Stanów Zjednoczonych z Anglją. Kolossalne summy pieniężne, jakie skutkiem szczęśliwych działań, każdodziennie powiększały się w trudnym do uwierzenia postępie, zdawały się gromadzić do rąk filantropa na to jedynie, iżby przy ich pomocy mógł spełnić szlachetną myśl swoją, powziętą w młodzieńczym jeszcze wieku, a nie opuszczającą go nigdy: powołania do współudziału w darach fortuny przez siebie osiągniętych, największéj o ile to być może liczby uczestników. Co zdziałał Peabody dla ludzkości, niech powiedzą cyfry budzące zasłużony podziw i uwielbienie, dla tego rzadkiego w dziejach społecznych człowieka.



GRUSZKA KRÓLEWSKA
czyli
zimowa aptekarska. — (Strona 395-ta).

Pierwszy przykład jego szczodrobliwości widzimy w czasie wystawy londyńskiéj w roku 1852, ofiarował on wtedy 3,000 funtów szterlingów, celem otrzymania dla płodów swego rodzinnego kraju najdogodniejszego na wystawie miejsca.

Odtąd możemy powiedzieć, że dary jego sypały się bez przerwy, aż do ostatniéj chwili życia, i tak: na założenie biblioteki w rodzinnem swojem mieście poświęcił 25,000 funt. szterl.

Gdy kongres ociągał się w wyznaczeniu funduszu na odszukanie Franklina, on dał na ten cel 10,000 funt. szter., które użyto na urządzenie znanéj powszechnie wyprawy Dr. Kane do bieguna północnego.

Rok 1857 głośny z przesileń finansowych, podał mu sposobność przy pomocy nieograniczonego kredytu i udzielanych przez siebie zaliczeń, wesprzeć i od pewnego uchronić upadku wiele domów handlowych i bankierskich.

W tymże roku odwiedził swoje rodzinne strony i pobyt swój uświetnił, założeniem biblioteki publicznéj w Baltimore i akademji nauk i kunsztów tamże; co pociągnęło za sobą wydatek 10,000 funt. szter.

Londyńscy ubodzy, byli szczególniejszymi jego ulubieńcami, wydał dla nich: w roku 1852. 15,000 funt. szter., w 1866 roku 100,000 funt. szter.; przy końcu 1869 roku 100,000 funt. szter.

W roku 1868 Peabody otrzymawszy prawo obywatelstwa miasta Londynu, powrócił do ojczyzny. Królowa Anglji pragnęła ozdobić go baronostwem lub jakim wysokim orderem; lecz gdy odmówił ich przyjęcia, ofiarowała mu swój portret kosztownie oprawny.

Peabody w czasie pobytu w rodzinnych swoich stronach ofiarował między innemi:

200,000 dolarów na wychowanie czarnéj i białéj ludności południa.

300,000 dolarów na muzeum starożytności amerykańskich, przy uniwersytetach Yale i Harvard.

50,000 dolarów na muzeum w Salem.

25,000 dolarów na Kenyon College.

20,000 dolarów na stan Maryland.

100,000 dolarów na wybudowanie kościoła dla uczczenia pamięci swéj matki.

200,000 dolarów darował dla członków swéj familji.

W ogólności wyłożył na powyższe cele do 2,000,000 funtów szterlingów. Wszystko to uczynił Peabody bez owéj ostentacji towarzyszącéj najczęściéj pańskiéj szczodrobliwości; owszem unikał wszelkiego rodzaju owacji i uważał to za wielką dla siebie przykrość, gdy mu wzniesiono pomnik, przy wejściu do giełdy londyńskiéj. Czyż możemy go więcéj jeszcze chwalić? gdy wyżéj wymienione liczby tak głośno o nim mówią? fundacje poczynione dla dobra ludzkości, przekażą nazwisko Peabody najpóźniejszym czasom. *K. Milkuszyc.*

PRZED SKONEM.

Chciałbym spokojnie, lekko, bez boleści
Rozsnuć do światła wiążące mnie nicie,
Zniknąć bez śladu i przepaść bez wieści.

* * *

Lecz zanim chwila wyroczna przeminie,
Nim, zkądem przyszedł, powrócę do Boga
Chciałbym być z Tobą w ostaniéj godzinie
I cicho skonać na Twym ręku, droga!

* * *

A gdy już rzucę wszelkiéj troski brzemię
I Ty na ciało będziesz kładła ziemię,
Proszę Cię, nie chciéj dusznego sklepienia
Klasztornych murów kłaść nad moim czołem,
Dość mi już było na ziemi więzienia
Śmierć niech łąk polnych otoczy mnie kołem,
Gdzieś na zielonem i otwartem polu
Pod niebios wiecznie błękitnem sklepieniem
Złóż moją głowę, senną, pełną bólu
I marmurowym przykryj mnie kamieniem,
A marmur ochłódź wonnym krzewów cieniem.
Zasiéj tam, zasadź bluszcze, rozchodniki,
Stulistne róże, podwójne gwoździki,
Niezapominajki i nieśmiertelniki.
Italskie mitry podalpejskie dalje
I borów naszych pamiątkę—konwalję.
Wszystkie co kochasz i com Ci przynosił
Za życia kwiaty, oddaj umarłemu;
Wspomnij, żem o nie zasypiając prosił
I rzuć je wieńcem pod głowy śpiącemu,
Niech przytłoczony tym ostatnim darem
Pchan coraz niżéj tym kwiecia ciężarem
W wieczność zapadam, aż w niéj się przetworzę
Na drobne listki, gałązki kielichy,
I z głębi grobu, wyrosnę w kwiat cichy,
I serce wonne przed Tobą roztworzę.
Tak każdéj wiosny ócz wonnych tysiącem,
Będę wyzierał za śmierci okręgi,
I rósł tam jeszcze przy Tobie pod słońcem,
Stopy Ci w miękkie obwiązując wstęgi.
Rwij mnie, bierz, rwij mnie, przyczepiaj do skroni,
Co ciało zdoła to ciało da Tobie
Nic się już z niego nie zostało w grobie,
W kwiat się zmieniło, a kwiat zniknął w woni.
I duch mój czeka, aż woń ta powróci
Przez smugi niebios niesiona wichrami
I znów go ciałem do koła obrzuci,
Lecz innem, światłem, wspólnem z Aniołami.
Przenoś więc daléj na téj dziwnéj drodze,
Z głębin grobowych do jasnego nieba
Wszystkie te kwiaty, które w grobie rodzę
Nim mnie obleką, zwiędnąć im potrzeba.
Na piersi Twojéj, bo z tamtąd dopiero
Uniewidnione w niebo się wybiorą,
Do ducha mego i ciało me w niebie
Będzie z tych kwiatów, co zwiędły u Ciebie.

Zygmunt Krasiński.

LISTY O ROSSJI.

Petersburg.

Przybywających po raz pierwszy do tutejszej stolicy, w porze letniego (dacznego) sezonu, uderza nadzwyczajna nieproporcjonalność pomiędzy jej obszernością a stanem zaludnienia. Ostatni, dokonany w r. z. ścisły spis ludności miejscowej wykazał przeszło 600,000 mieszkańców; stosunek więc w stanie normalnym zaludnienia Petersburga do Warszawy jest blizko jak 3 : 1, kiedy obszernością gród tutejszy przynajmniéj dziesięć razy przewyższa Warszawę.

W jesieni, zimie i początkach wiosny, ludność cała skupia się przeważnie w środkowéj najbogatszéj części miasta, w któréj mieszczą się pałace: Cesarski, Następcy Tronu, Wielkich Książąt, kościoły, ministerja, bibljoteki, teatry, foksale dróg żelaznych, celniejsze hotele, magazyny i t. p. a któréj główną arterję ruchu stanowi Newski prospekt, wspaniała, szeroka, środkiem miasta idąca ulica, dwoma końcami dotykająca granitowych brzegów Newy, w przebiegu swym przecięta dwiema rzekami: Fontanką i Majką, po środku których przebiega kanał Katarzyny. Inne części miasta, tak zwane: Peterburgska strona, w któréj znajdują się Petropawłoski Sobór z grobami Monarchów Rossyjskich, Wasilewski Ostrów, część Wyborgska, stosunkowo znacznie mniéj są zaludnione.

Od połowy Maja, mieszkańcy tutejsi całemi massami emigrują z dusznych kamiennych siedzib swoich do zamiejskich i wiejskich willi (dacz), gdzie stósownie do stanu powietrza przebywają mniéj więcéj do końca Sierpnia.

Emigracja taka, stanowiąca gdzie indziéj wymaganie mody i dobrego tonu, dla Petersburga jest niemal koniecznością; powietrze tu bowiem w lecie jest nadzwyczaj duszne i przejęte różnorodnemi szkodliwemi dla zdrowia wyziewami. Ztąd też, na te kilka miesięcy całe rodziny opuszczają miasto, pozostają w niem tylko ci, którym niemoc kieszeniowa, a z nią troska o chleb powszedni, każą zapomnieć że i dla nich Bóg stworzył lato z jego pięknością i zielenią.

Naturalnie, że razem z przeważną częścią ludności i życie z pośród miasta wybiega teraz po za jego obręby, na dacze.

Liczne koleje żelazne, statki parowe i zwyczajne wiosłowe (jaliki), omnibusy, wreszcie powozy publiczne i dorożki tak zwane prelotki, utrzymują ruch nieustanny pomiędzy daczami a stolicą.

Rossjanie na polu handlu i przemysłu są nadzwyczaj przedsiębierczy i praktyczni, możnaby się od nich pod temi względami wiele rzeczy użytecznych nauczyć.

Kiedy w Królestwie, w takim np. Ciechocinku lub Solcu, dokąd w porze letniéj, kuracyjnéj, zbiera się w znacznéj liczbie ludnośc z kraju i zagranicy, z trudnością dostać można znośnego mieszkania i jakiego takiego pożywienia, tutaj życie na daczach niezmiernie jest ułatwionem. W umyślnie na czas letni otwieranych sklepach, w każdéj porze dnia dostanie wszystkiego, począwszy od artykułów niezbędnych, jak chleba, mięsa i t. p. aż do przedmiotów zbytku, kosztownych win, owoców.

Ceny najmu dacz są bardzo różne i zależą od miejscowości, obszerności daczy i jéj urządzenia. W Carskiem siole, Peterhofie, rezydencjach Cesarskich, wreszcie Pawłowsku, gdzie obecnie grywa znany w Warszawie Bilse, który mówiąc nawiasem nie zbyt podobał się Petersburgczanom przywykłym do lżejszéj, żwawszéj muzyki Wiedeńskiego króla walców, na teraz goszczącego w Warszawie, Krestawskich Ostrowach, Strelnie, Pargołowie i t. p. ceny bywają wysokie, tysiąc rubli i więcéj za daczę, w innych skromniéjszych i więcéj oddalonych miejscowościach, można dostać dosyć wygodną daczę za 30—50 do 100 rubli.

Ponieważ mieszkania w Petersburgu zazwyczaj wynajmują się i płacą miesięcznie, koszta więc wynajęcia daczy, mniéj więcéj równoważą się oszczędnością zyskaną na opuszczeniu mieszkania w mieście, których na czas letni najmować nie trzeba. Koszta też przeprowadzenia i przewózki rzeczy na dacz i na powrót, przy obfitości środków komunikacyjnych, licznych zakładach transportowych, ogromnéj liczbie tak zwanych łomowych izwoszczyków, trudniących się przewózką ciężarów, nie są znaczne.

Należąc do rzędu tych marnych śmiertelników, których obowiązki chlebowe nie pozwalają rozkoszować się stale po

za miejskiemi pięknościami lata, kończę na teraz rzecz o daczach i wracam w mury stolicy.

Główną osią około któréj obraca się obecnie życie mieszkańców Petersburga, a przynajmniéj znacznéj bardzo jego części, stanowi Wszech-Rossyjska Wystawa Rękodzielnicza. Pisma tutejsze i warszawskie podają o niéj dosyć szczegółowe sprawozdania, nie pozostaje mi więc jak ograniczając się na ogólnym poglądzie, zaświadczyć o starannem bardzo i gustownem jéj urządzeniu z zastósowaniem w ozdobach mile wpadającego w oko stylu czysto-ruskiego, wreszcie o obfitości i dobroci okazów z różnych gałęzi produkcji, świadcząc, że duch postępu przedziera się w obszerną tutejszą krainę, obiecując z czasem wytworzyć w niéj tak pożądaną dla dobra i szczęścia narodu oświatę i dobrobyt.

Królestwo, a w szczególności Warszawa, świetnie na Wystawie była reprezentowaną, na czem zapewne Fabrykanci i Przemysłowcy polscy nie stracą, nie tylko bowiem wystawione przedmioty w większéj części zaraz na miejscu sprzedali, ale jak słychać, wszedłszy w stosunki z tutejszymi konsumentami, korzystne poprzyjmowali obstalunki i otworzyli sobie nowe drogi zbytu, tak pożądane przy dotykalnym w kraju braku gotowizny i ogólnéj stagnacji handlowéj. Z przedmiotów wystawionych przez eksponentów polskich, szczególne tu zyskały uznanie: maszyny zakładu „Lilpopa i Rau'' fortepiany Hoffera, powozy Rentla i Romanowskiego, fotografje Mieczkowskiego, skóry fabryki „Temler i Szwede'' i Liedkiego, obuwie Hermana i Lublińskiego. Zwraca uwagę brak dobrych okazów wyrobu stolarskiego, dla tego żałować wypada iż Stowarzyszenie Zjednoczonych Stolarzy Warszawskich, albo inne znane firmy tamtejsze, Simmlera, Kalisza i t. p. nie stanęły do popisu, z pewnością bowiem wyszłyby zwycięzko, a może i dobry zrobiłyby interes. Z okazji Wystawy, zawiązało się w Petersburgu pod prezydencją Jego Cesarskiéj Wysokości Księcia Leuchtenbergskiego, towarzystwo złożone z fabrykantów, przemysłowców, techników i osób sprzyjających rozwojowi ruskiego przemysłu. Posiedzenia towarzystwa zostały obecnie zamknięte uchwałą o perjodycznem zgromadzaniu się członków i założeniu Muzeum nauk stosowanych.

Teatry tutejsze, mianowicie: Wielki, Maryiński, Aleksandryjski i Michałowski, nieliczące pomniejszych jak: Berga, w Passażu, i t. p. po większéj części odpoczywają, odświeżają się i gotują na sezon zimowy. Na teraz w Teatrze Wielkim dają parę razy w tygodniu balety, w Michałowskim komedje ruskie i dramy, inne teatra próżnują. Natomiast na placu mustry, tak zwanym Carycynym ługu, w blizkości Wystawy i na czas trwania téjże, P. Małafiejew pobudowa teatr ludowy, w którym szereg przedstawień rozpoczęto sztuką „Ermak Timofiejew''. Teatr ten znany z przedstawień bałaganowych, dawanych w maślinnicę t. j. ostatnim tygodniu karnawału i w Wielkim Tygodniu, przy lepszym jednak doborze artystów i artystek, cieszy się dobrem powodzeniem. W Petersburgu podobnie jak i w Warszawie, była niejednokrotnie podnoszoną i roztrząsaną myśl urządzenia teatru narodowego, w którym ludzie małéj oświaty i szczupłych środków pieniężnych, mogliby znaleźć zdrowy pokarm moralny i czas spędzać przyjemniéj i szlachetniéj, niż jak dotąd w szynkowniach i brudnych zakątach. Myśl ta jednak będąc traktowaną ze stanowiska filantropji, pozostałaby tu podobnie jak dotąd w Warszawie nie urzeczywistnioną, ale P. Małafiejew pojął ją cokolwiek inaczéj, jako interes, wykonał i wykonanie to dobrą przynosi korzyść, i jemu i licznym bardzo widzom, prostaczkom.

W miejskich ogrodach i ogródkach tutejszych, różnorodnych i różnonarodowych muzyków, śpiewaków i akrobatów, obfitość wielka.

Na placu b. Korpusu Kadetów, pani Rast odbywa przejażdżki velocipedem po wyciągniętéj linie, zręcznością i pewnością ruchów podług ogólnego uznania przewyższając, znanego w Warszawie, bohatera Niagary. Osobiście zręczności téj poświadczyć nie mogę, gdyż z zasady jestem nieprzyjacielem wszelkiego łamania karków i dziwię się zawsze iż prawodawstwo karząc surowo wszelkie targanie się na życie własne, dopuszcza bezkarnie podobne widowiska, które w gruncie rzeczy nie są czem innem, jak efektownem, publicznie spełnionem samobójstwem, najmniejsza tu bowiem nieprzewidziana przeszkoda, niepewne stąpnięcie, nagły pęd wiatru, czyż nie może sprowadzić natychmiast smutnéj katastrofy? Zarówno też dziwić się wypada, iż niebrakuje nigdy widzów na takich przedstawieniach, które przecież ani bawią, ani umoralniają, ani też uszlachetniają człowieka, ale przeciwnie, dzikie jakieś, zwierzęce wzbudzają instynkty, kiedy tymczasem teatry, koncerty, gdzie coś skorzystać, a przynajmniej godziwie i przyjemnie czas spędzić można, jakże często bywają puste.

Smutne to chociaż niestety ogólne charakterystyki obecnéj epoki, owo pragnienie cynicznych wrażeń. Ręczę, że przynajmniéj połowa widzów, zadowolona widokiem zręcznéj a niebezpiecznéj jazdy po wysoko rozpiętéj linie, byłaby rada, za miłego rubelka, zobaczyć w dodatku jak też to w podobnych okolicznościach skręca się karki. Wszak na kaźń Traupmana w Paryżu, tłumy ludu z różnych warstw społeczeństwa, całe dnie i noce wyczekiwały na placu egzekucji byle zadowolnić się widokiem krwawéj dramy.

Niema wątpliwości, że w kim widok krwi rozlewu nie obudza wstrętu i grozy, ten albo jest, albo będzie sam zdolny popełnić krwawą zbrodnię.

Przed laty trzydziestu widziałem w Lublinie głośnego w owe czasy kryminalistę, młodego chłopca, lat około dwudziestu, syna zacnych rodziców, który z dzieciństwa przywykłszy do pastwienia się nad wyjmowanemi z gniazd ptaszętami, którym ze szczególną rozkoszą, za życia serce z piersi wydzierał, wyszedł później na wytrawnego mordercę, i umarł w więzieniu, nie doczekawszy spełnienia nad nim wyroku sprawiedliwości ludzkiéj.

Francja pojęła to dobrze i dla tego niechcąc własną ręką przysposabiać sobie zbrodniarzy, postanowiła wyroki śmierci zamiast na placach publicznych, spełniać odtąd wśród murów więziennych.

Młodzież w zakładach naukowych tutejszych przechodziła w tym czasie ciężki egzaminacyjny kryzys, decydujący o dalszych jéj losach. Epoka ta uwydatniła się w Petersburgu smutnym epizodem, samobójstwem młodego dzieciaka, ucznia klassy IV, Laryńskiego gimnazjum, Aleksandra Nikolenki, który egzaminowany będąc z fizyki, nie mogąc dać zadawalniającéj odpowiedzi i otrzymawszy w skutek tego stopień niedostateczny, życie sobie odebrał.

Fakt ten przypomina mi inny, jaki przed laty około piętnastu miał miejsce w Królestwie. Młody człowiek, urzędnik, jedynak zamożnych rodziców, używany był przez swego zwierzchnika do poboru pieniędzy skarbowych i pobór ten w jego imieniu uskuteczniał. Razu jednego, zwierzchnik ów, dopełniając sprawdzenia rachunku, dostrzegł brak stu rubli, a podejrzywając swego podwładnego o kradzież takowych, zwrócił się do niego z groźbą i krzywdzącemi obelgami. Obwiniony pomimo przekonania o swéj niewinności, nie mogąc przenieść wyrządzonéj krzywdy, zwłaszcza że rzucone podejrzenie, natychmiast w formie dowiedzionéj prawdy rozbiegłszy po mieście i okolicy zwróciło na niego powszechną uwagę, życie sobie odebrał. Tymczasem, powtórne staranne sprawdzenie rachunku okazało, iż rewidujący popełnił prostą omyłkę, w kolumnę setek zapomniał przenieść jednéj tylko jedności, która kosztowała życie człowieka długo jeszcze i użytecznie

mogącego służyć krajowi, a starych rodziców pozbawiła jedynego syna.

Józ f Krasuski.

RYSUNKI
ś. p. Artura Grotgera.

(Ciąg dalszy, patrz Nr. 33-ci).

8. Mamy przed oczyma pobojowisko wśród chmurnéj nocy ponuro majaczące rozciągniętemi trupami w głuchém polu. Wieśniacy obdzierają zabitych i pakują łupy krwawe do worów.

Artysta tknięty zgrozą na widok podłości ludzkiéj posuniętéj do tego stopnia, tuli się do odwracającego się w inną stronę od téj sceny genjusza sztuki i zdaje się pragnąć jak najrychléj z tamtąd się oddalić. Nieopodal widać pięść groźnie zaciśniętą zabitego, skierowaną do góry.

Obrazek nosi tytuł:

„Ludzie? czy szakale?“

.... Wnętrze świątyni. Na krzyżu rozpięta postać Zbawiciela. A na niéj rozwieszone rynsztunki wojenne. U dołu stoją bębny i flaszki i kubek od gry w kości, tuż lulka obozowa jeszcze się kurząca. W bocznéj ścianie tkwi kamienny nagrobek jakiegoś chrześcijańskiego rycerza, co walcząc gdzieś, poległ. Kamienny rycerz pobożnie złożone ręce do modlitwy trzymając, zdaje się błagać o przebaczenie dla żołdactwa co sprofanowało świątynię, zdają się szeptać kamienne usta posągu: *daruj im Panie, bo nie wiedzą co czynią!*

Genjusz sztuki zarzucił zasłonę na oczy swoje i z załamanemi rękami uchodzi, a artysta zasłoniwszy dłonią oczy swe, chwiejącym się krokiem za nim podąża, zdaje się wstydzić tego że jest człowiekiem, że jest bliźnim tych, którzy wizerunek Zbawiciela i dom Boży zponiewierali plugawym swym i sprośnym pobytem.

(*Dokończenie nastąpi*).

HUMORESKA.



(Skargi familijne).

MĄŻ: Mniejsza że tu niewolno palić tytoniu.... ale Warszawie skutki trwającéj wojny już się czuć dają. Oto wielu muzykantów od Strausa, kilku podobno kelnerów z Europejskiego hotelu Prusy powołały do landweru.

ŻONA: To nieżarty mon cher! ale 'gdy śpiewaków z Eldorado — a co broń Boże jeszcze i modniarki powoła Francja do pospolitego ruszenia,—wtedy i ja powiem że Warszawa wiele straciła.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Gavaut, Minard i Wspólka, komedja w 3-ch aktach, Edmunda Gondinet, z francuzkiego przetłómaczona.

Właściwie, sprawozdanie niniejsze powinno być poprzedzone recenzją „Skąpca“ Molier'a, którego przedstawienie odbyło się daleko wcześniéj, aniżeli komedji powyżéj zatytułowanéj. Gdy jednak okoliczności tak zrządziły, że do tego czasu, nie mogliśmy być na przedstawieniu „Skąpca,“ dajemy tym czasem recenzję z komedji Edmunda Gondinet'a, przyrzekając naszym czytelnikom, zdać sprawozdanie z pierwszego przedstawienia „Skąpca,“ jakie obecnie przypadnie.

Edmund Gondinet, wykwintny i salonowy autor „Białego krawatu,“ nie wiem, czy w przystępie dobrego, lub złego humoru, czy pod wrażeniem jakich przelotnych okoliczności, czy wreszcie dla doświadczenia sił autorskich w innym kierunku, dość, że ten wykwintny Gondinet, spłodził komedję 3 aktową p. t. *Gavaut*, *Minard i Wspólka*, u nas świeżo przedstawioną, na któréj, oprócz nieznacznego śladu *białego krawatu*, nie widać nawet...żadnych figowych liści...

Jeżeli autor miał na celu rozśmieszać publiczność od początku do końca, to rzeczywiście dopiął tego celu, ale, aby rozśmieszyć podobnego rodzaju konceptami publiczność, na to wielkich sił autorskich nie potrzeba. Kazać komu biegać w zupełnem negliżu po scenie; kazać wychodzić kobietom z przekręconymi czepkami na głowie, z pokoju, gdzie się sama nie znajdowała; kazać wchodzić kobiecie do pokoju, gdzie się znajduje ukryty żandarm, kochanek — w celu... *doświadczeń topograficznych*, to są efekty tak jaskrawe i tak łatwe dla każdego, że na to nie potrzeba żadnego dowcipu komedjo-pisarskiego.

Gdyby zresztą choć sam pomysł odznaczał się jakąś oryginalnością, albo pewną komiczną komplikacją, ale to wszystko tak luźne, tak tam brak artystycznego cementu, że poprostu następują sceny po scenach, zaledwie mające z sobą związek, a ileż to dopiero jest takich scen, które autor wprowadził dla tego tylko, że są rażąco nieprzyzwoite.

Przyznajemy się do tego, że nie należymy do liczby bezwzględnych purystów na scenie, owszem w granicach artyzmu i prawdziwéj komiki, dowcipowi wolno zaczepiać wszystko, ale jak skoro autor wychodzi po za sferę, zakreśloną powagą sztuki i staje się expozytorem scen, których widz może się

☛ Patrz Dodatek.

Dodatek do N-ru 35-go Opiekuna Domowego 1870 r.

domyślać, ale widzieć ich niepowinien, to nawet najbardziéj posuwający swobodę słowa, na podobny sposób traktowania sztuki, zgodzić się nie może.

Cała rzecz obraca się w téj komedji na tem: że przychodzi list zaadresowany do pana Gavaut, Minard i Współka, od bezimiennéj kobiety, upominającéj się groźnie o opiekę dla naturalnego syna. Pan Gavaut (pan Rapacki) i pan Minard (pan Żółkowski) poczuwając się do grzechów młodości, sprowadzają przypadkiem do swego domu owego syna, nie wiedząc jednak na pewno, czy jeden, czy drugi, jest jego ojcem, w końcu jednak pokazuje się, że ów młodzieniec, znalazł się tylko nie naumyślnie w domu panów Minard i Gavaut, a list nie był do nich pisany, lecz do ich komissanta, człowieka udawającego skromnego, a rzeczywiście rozpustnika, któremu maleńkie dziecko w końcu przynoszą.

Oto cała treść komedji.

O grze artystów nic szczegółowego nie da się powiedzieć; wszyscy grali dobrze, a przedewszystkiem wybornie oddali swoje role pani Bakałowicz, panowie Żółkowski i Rapacki, chociaż szkoda takich talentów na takie rzeczy.

M. Dzikowski.

WIECZOREM, W OGRÓDKU.

— Słyszałem że tegoroczne teatrzyki nasze ogródkowe warte odwiedzania? pytał Gerwazy Protazego, a ten ostatni mu na to:

— Już kiedy ja bywam na nich, to możesz smiało pójść tam, a nie pożałujesz?

Co to za szczytne odezwanie się: *kiedy ja bywam!*

Przekonany argumentem p. Gerwazy, pyta znowu:

— A który z nich najlepszy: Alhambra? Tivoli czy Figaro?

— Widzisz mój drogi to rzecz gustu. Pamiętam w jakiéjś traktjerni na prowincji, czytałem ongi jadłospis w ten sposób zredagowany:

Na kolację

1. Befsztyk z masłem świeżém.
2. ditto z kartoflami.
3. ditto z chrzanem skrobanym. i t. d.

Owóż tedy o tych trzech teatrzykach toż samo możnaby powiedzieć — omne trinum perfectum.

— Czy żartujesz z nich sobie?

— Niech pan Bóg broni! honny soit qui mal y pense! każdy z tych teatrzyków ma swoją oddzielną przyprawę, potrawa jednakowa we wszystkich, odparł poważnie p. Protazy i ostatecznie przekonał swego przyjaciela.

* * *

A zatem bez żadnego skrupułu i obawy o zgorszenie i my pójdźmy do tych teatrzyków, kwoli rozrywki a zbudowania.

Nie spieszmy tylko, nie kwapmy się zbytecznie, bo aczkolwiek program opiewa że początek widowiska o godzinie ósméj, to nikogo do uwierzenia w punktualność nie obowiązuje. Nic nie stracimy przybywając w godzinę później i tak trzeba będzie jeszcze oczekiwać na podniesienie zasłony.

A warta przyjrzenia się ta zasłona. Oto pośród purpurowych o złocistych frendzlach festonów namalowano na niéj niezmierny plac, cudnie wybrukowany dobranemi pod względem kształtu, koloru i wielkości kamieniami. Wśród tego wzorowego bruku, na którym ani żywéj duszy nie widać, i w około którego ani jednéj budowli nie postawiono, wznosi się na piedestale konny posąg rycerza w zbroi, z mieczem obnażonym i skierowanym niezłomną prawicą paladyna w jeden punkt upatrzony gdzieś za plecami widzów, na ławkach pod odkrytém niebem siedzących przed teatrzykiem.

U stóp rycerza przed kortyną zwykła budka suflerska: a u stóp budki, z pod pomostu sceny, wygląda klawjatura fortepjanu, niby paszcza mnogo-zębna jakiegoś ugłaskanego smoka, co z głębi swéj jaskini wyszczerza się do publiki po przyjacielsku. Na krawędzi fortepianu, spoczywają skrzypce i trąbka z pistonami. Obok drzemie basetla. A tuż stoi czterech mężów orkiestrę reprezentujących, nie żadném przygrywaniem na tych instrumentach; ale trzymaniem się w posągowych pozach i przyglądaniem się publice zgromadzonéj w ławkach i po za ich obrębem.

Już i lampy zapalają i publika tłumnie zebrana zaczyna się niecierpliwić i laskami o ławki pukać dla pobudzenia do zaczęcia widowiska, a tu ani drgnie kurtyna, ani piśnie orkiestra i tylko posąg rycerza jeszcze majestatyczniéj wygląda z płótna i jeszcze stateczniéj wskazuje końcem miecza w przestrzeń.

Publika pomimowolnie zwraca swe oczy w kierunku wskazywanym przez rycerza i widzi, że punktem w który ostrze miecza celuje, jest bufet!

Ktoś z publiki, nagle się odzywa do mężów, uporczywém milczeniem reprezentujących orkiestrę:

— Hej! panowie tam z pod kortyny! prosimy o dili-dili! bam-bam! wu-wu-wu! tim-drym-drym! i mówiąc to odbywał ruchy rękami jakby grał na jakichś instrumentach.

Mężowie reprezentujący muzykę, na tę interpelację odpowiedzieli okazaniem swych pleców publice i wlepieniem swych oczu w wizerunek rycerza majaczącego na kortynie.

Zbudowana tym wymownym gestem publika zrywa się z ławek i podąża tam gdzie ostrze miecza rycerskiego wskazuje. Przy bufecie tedy znajdując chwilowe poskromienie i uspokojenie wzburzonych gwarnem i długiém oczekiwaniem namiętności, spostrzegamy nieopodal kilku mężów, kolejno celujących i strzelających z wiatrówki, do jakiegoś pretorjanina krzyczącéj fizognomji, krzyczącemi barwy, na desce namalowanego. Wygląda ten malowany bajecznéj narodowości jakiejś delikwent, jakby niesubordynowany jaki szeregowiec, co wbrew rozkazom rycerza z kortyny, zamiast udać się do bufetu, dopuścił się dezercji, tułał się gdzieś w zaułkach ogródka, został schwytany, skazany przez rycerza na rozstrzelanie i bezwłocznie poddany egzekucji.

Zbudowana smutnym przykładem dezertera tego publika, oblega bufet i pełni swoją powinność; a ostrze miecza rycerskiego stale skierowane w same centrum szkła bufetowego, zdaje się kreślić głoskami baltazarowemi wśród niego przestrogę:

— Ej pijcie! ej zajadajcie! bo będzie źle! nieposłusznych sprawiedliwość ma i pod ziemią dosięgnie!

Ale publika znowu sobie przypomina ni z tego ni z owego, że przyszła na widowisko, ale nie na bankiet i zaczyna laskami młócić w stoły, ławki i drzewa, z taką zawziętością, że wśród tego łoskotu, nikt nie słyszy że kapela wzięła się wreszcie do dzieła.

Kiedy wreszcie publika zmordowana dała folgę swym laskom, zdumienie nastąpiło ogólne, na odgłos muzyki, która wydała się brzęczeniem roju pszczół uciekającego z pasieki. Powoli jednakże zaczynamy wśród tego brzęczenia odróżniać piszczenie skrzypiec, huczenie basetli, ryk trąbki i niesforne brzęczenie fortepjanu, zlewające się w jakąś fanfarę pełniącą obowiązki poloneza.

W koło zagrody przedzielającéj ławki zajęte przez widzów nasyconych chlebem powszednim, od stolików otoczonych

przez widzów złaknionych chleba powszedniego i zajadających go w postaci zrazów nelsońskich z kartoflami i kufelków bawara, snują się jakieś postacie o fizjognomjach, gestach i szatach wcale nie zwykłych pospolitym śmiertelnikom. Domyślamy się w tych malowniczych figurach synów Melpomeny.

Otóż jeden z nich zasiada przy naszym stoliku do kufelka bawara. Z należytym respektem poważamy się wynurzyć przed tym mężem nadzieję, że zapewne wkrótce widowisko się rozpocznie?

— Ba i bardzo! już dawno rozpoczęłoby się, żeby nie pierwszy amant! odparł artysta, zręcznym ruchem głowy przerzucając sobie z czoła na kark zawiesistą czuprynę.

— Ci amanci, to ludzie zazwyczaj ogniści, a ztąd do porządku trudni—ośmielamy się wyrazić zdanie.

— Co nam do ich ognistości? każdy jest ognisty na swą potrzebę panie dobrodzieju, ale nasz amant gdzieś się w mieście ulotnił, a tu niemożna bez niego zaczynać, żeby go choleryna napadła!

— Ale też pan życzliwy dla kolegi!

— To tylko przyjacielskie przysłowie, a co do koleżeństwa, to inna materja.

— A pan amantów nie grywasz?

— Jaaaa! wrzasnął artysta głosem, w którym poznaliśmy tragika, a więc pośpieszyliśmy się poprawić.

— Pan grywasz w dramatach?

— Role charakterystyczne w ogólności, a czarne charaktery w szczególności, to moja specjalność. Gardzę amantami, tak jak i miłością.

— Kupido być może spłatał panu figla kiedyś?

— Niedoczekanie jego. Cała rzecz że nie wierzę w miłość. Jest to bowiem wedle mego zdania coś nakształt upicia się. Jak człowiek sobie podchmieli, to mu się licho wié co zdaje, że mądry, że piękny, że odważny, że genjalny, że świat przepada za nim i że w jego ręku losy świata spoczywają. A jak się wytrzeźwi, to tylko wstyd i żal, a często rozpacz.

— Z takiém usposobieniem jednakże zostałeś pan artystą dramatycznym?

— Ba, a powołanie!

— Jednakże kto nie wierzy w miłość, a raczéj kto ją poniża do stopnia upojenia, to nie wierzy i w piękność, a piękność jest zasadą sztuki. Na miłości jak na osi sztuka dramatyczna się obraca.

— Kury do indyków nie należą. W każdym utworze dramatycznym jasno a zrozumiale mój pogląd na miłość się potwierdza. Jedném słowem, głupie życie ludzkie, a życie artysty dramatycznego byłoby najmędrsze z głupich, żeby nie zawisło od iluzji dukatów, tak jak miłość zależy od iluzji zachwytów. Ja *np.* tak jak każdy z mych kolegów, powinienem pobierać tyle a tyle dukatów gaży. Żeby w kassie były dukaty, brałbym dukaty, ale gdy wypadają grosze, muszę kontentować się groszami. To i ten co kocha się, myśli że kocha nioła, aż tu panie dobrodzieju po ślubie przekonywa się, że kochał półdjable weneckie, aljas anioła z pazurkami. . .

— A więc trudno utrzymać się z gaży?

— Z iluzji gaży! tak jak z każdéj iluzji. Nikt się nie nakarmi szynką wymalowaną na szyldzie rzeźnika, ani nie ugasi pragnienia wizerunkiem bawara buchającego z flaszki do kufla, wymalowanym na szyldzie piwiarni.

— W takim razie, któż zabrania poszukać sobie czegóś lepszego?

— A powołanie? sam pan osądź tylko, czy nie najokrutniejsze powołanie popchnęło mię na deski teatralne.

Od najwcześniejszéj młodości, a raczéj od dnia w którym pierwszy raz w życiu ujrzałem widowisko teatralne, miałem pragnienie zostania aktorem, ale nie sądziłem nigdy żebym potrofił nim być, poczytując zawód artysty dramatycznego, w którym nie tylko pustelników, rycerzy, królów, ale i Rynaldynich i djabłów trzeba udawać, za szczyt wzniosłości do jakiéj człowiek genjalny wzbić się może. Nie śmiałem więc pozwalać sobie marzyć, żebym kiedykolwiek posunął się aż do zostania aktorem. Z tego też powodu pomimo całego uwielbienia dla sztuki dramatycznéj, przed kilką laty jeszcze, z największą rezygnacją pełniłem obowiązki chłopca sklepowego w handlu win w Warszawie. Aliści wypadło mi udać się do jednego z miast prowincjonalnych w interesie spadkowym i tam zabawić parę miesięcy. Mając trochę grosza i dosyć czasu wolnego, w dzień bąki zbijałem po mieście, a wieczorem uczęszczałem do teatru, bo akurat truppa wędrowna dawała tam podówczas przedstawienia codzienne.

Pewnego razu wchodzi do restauracji w któréj w bilard grałem, jakiś facet i powiada mi że pan ten a ten— a był to wielce wielmożny Pan jeden, żąda abym bezwłocznie stawił się przed nim. Nie wypadało odmówić wezwaniu, ale niesłychanie zdumiony zostałem słysząc z ust potentata następującą propozycję, a raczéj rozkaz:

— Będziesz pan dawał lekcje muzyki mym córkom po dwie godzin: z wyjątkiem niedziel i świąt, od dwunastéj do drugiéj codziennie. Zapłacę panu po rublu za godzinę. Urządź się więc pan tak ze swoim czasem, abyś w godzinach tych mógł regularnie do nas przychodzić na lekcje.

— Ale kiedy proszę pana, odzywam się na to chcąc wyznać że nie jestem muzykiem, że na muzyce nie znam się wcale, że lekcji nie daję nikomu, że więc propozycji przyjąć nie mogę, ale gdzie tam! wielce wielmożny pan z oburzeniem odzywa się:

— Nie słucham żadnego ale, proszę się nie wykręcać, moje pieniądze nie gorsze od innych, jeżeli pan zechcesz wymawiać się od dawania lekcji mym dzieciom, będę zniewolony wytłómaczyć to sobie w sposób, który zaszczytu ani przyjemności panu nie przyniesie. . .

— Ale kiedy. . . zaczynam znowu, a pan z gniewem jak krzyknie:

— Żadnego ale! raz już powiedziałem. Lekcje zaczniesz pan natychmiast. Proszę ze mną!

— I zaprowadziwszy mnie do swych córek, posadził przy fortepjanie i kazał uczyć grać, nie dozwalając mi słowa przemówić. Co tedy robić, przychodzę regularnie codzień na lekcje, zasiadam, kiwam głową, przewracam oczami, wybijam takt nogą i uchodzę za metra muzyki przez cały tydzień. Aż nagle ów pan powiada mnie że córki jego utyskują, że nie chcę im dawać żadnych rad ni wskazówek podczas lekcji, a więc ostrzega mię żebym zeń nie żartował sobie i lekcje odbywał jak należy, bo pożałuję tego jeżeli nie ulegnę jego żądaniu. Z przerażeniem więc niemałem wyznaję mu wtedy, że nie jestem metrem muzyki, że na muzyce nic a nic się nie znam i że dla tego uczyć muzyki choćbym z duszy pragnął, nie potrafię.

— A któż pan jesteś u licha, jeżeli nie jesteś nauczycielem muzyki? zawołał pan ów z podziwieniem.

Skoro mu wyjawiłem moje powołanie i dodałem że zapewne w skutek podobieństwa niejakiego, które z powierzchowności miałem z metrem muzyki tamecznym, za tego ostatniego byłem poczytany i do mięszkania pana wprowadzony — potentat wrzasnął:

— A dla czegoś mi pan tego odrazu nie powiedział?

— Kiedy mi pan nie dozwoliłeś mówić, twierdząc że nie chcesz słuchać żadnego ale i jeszcze straszyłeś mię pan, że mogę biedy sobie narobić, jeżeli nie ulegnę żądaniu jego!— sądziłem że pan chcesz się ubawić moim kosztem, lub masz

jakieś w tém swoje widzi mi się, żeby mię zmusić do udawania nauczyciela muzyki.

Wysłuchawszy tego mego tłómaczenia, potentat śmiał się jak opętany, zapłacił mi święcie za owe mniemane lekcje, przeprosił za omyłkę i pożegnał grzecznie, twierdząc, że wyśmienicie odegrywałem rolę metra muzyki, wcale nie gorzéj od metrów patentowanych.

Zdarzenie to przekonało mię najgruntowniéj, że mojém powołaniem jest scena. Bo skoro ja nie chcąc wcale tak dobrze przez cały tydzień udawałem metra muzyki, to skoro zechcę potrafię udawać kogo tylko rzewnie mi się spodoba. Tego samego dnia więc przystałem do aktorów. Czyż to nie powołanie?

Huk lasek któremi publika zaczęła grzmocić ławki, na znak, że do rozpaczy została przyprowadzoną oczekiwaniem tak przeciągłem, znaglił wymownego artystę do przerwania dalszéj gawędki i udania się do swoich.

Laski ucichły, kapela apatycznie z pod kortyny odzywa się, widzowie siedzą w milczeniu i z rezygnacją największą oczekują rozpoczęcia widowiska. Już przy bufecie nie ma nikogusieńko — już w strzelnicy nawet przestano karcić ćwieczkami strzelanemi z wiatrówki nieprzyjaciela rodu ludzkiego wymalowanego na desce — i wśród oczekiwania ogarnia publikę jakieś ogólne zamyślenie. Kapela fuszeruje cudną muzykę Strausowego walca: Nad modrym pięknym Dunajem!!

(d. n.)

Wiadomości Techniczne.

— **Konserwowanie ogórków.** Pamiętając o tem że w gospodarstwie najdrobniejszym szczegółem nie powinniśmy lekceważyć, podaję dla naszych gospodyń doświadczony, a na Litwie używany sposób konserwowania ogórków, którego przepis w téj porze sądzę że będzie na dobie. Mające się solić ogórki, układają się zwykłym sposobem w beczce dębowéj, najlepiéj nowéj, obficie przekładając warstwami liścia wiśniowego i nieco kopru do pełności beczki. Następnie bierze się taką ilość wody, jaka jest w stanie wypełnić beczkę nałożoną ogórkami, wsypuje się w nią, w stosunku na jedno wiadro jedną stołową łyżkę saletry, funt kuchennéj soli, lub i więcéj, stósownie do tego w jakim stopniu chcemy otrzymać słoność ogórków i nareszcie parę garści liści czarnych porzeczek. Tak zaprawioną wodę gotować aż do zakipienia a nie zdejmując z ognia czerpać i zalewać nią ogórki. Skoro się wypełni beczka, przykryć ją i pozostawić w spokojności. Następnego dnia zlewa się całą ilość wody, jaka się da wysączyć z ogórków, gotuje się ją, lecz już bez żadnych dodatków i znowu się wlewa do beczki. Taż sama czynność powtarza się trzeciego dnia, po dopełnieniu czego, beczka się zabija.

Nadmieniam tutaj, że po zalaniu ogórków wrzącą wodą po raz pierwszy, takowe pożółkną i pomarszczą się, lecz po zalaniu powtórnie, już nabiorą naturalnego koloru i świeżości.

Szczelnie zabitą beczkę od czasu do czasu należy przewracać, tym celem aby wierzchnia warstwa niebyła pozbawiona wilgoci, w skutek czego część ogórków mogłaby przez długi przeciąg czasu uledz zepsuciu.

Takim sposobem zakonserwowane ogórki, dobrze przechowują się przez czas długi i nadto posiadają doskonały smak.

J. G.

ROZMAITOŚCI.

— **Gruszka Królewska.** Wizerunek téj gruszki podaliśmy wyżéj na Stronnicy 388. Ojczyzną jéj jest Francja, a mianowicie Paryż, gdzie przez jednego z miłośników ogrodnictwa, właściciela apteki z krzyżowania gatunków innych gruszek wyhodowaną być miała, ztąd też nosi nazwę aptekarskiéj. Ci którzy zwiedzali ostatnią wystawę Paryzką w 1867 r. odbytą, zapewniali nas: iż widzieli owoce téj gruszki kilka funtów ważące, w cenie pięciu złotych naszych. Owoce te odznaczały się przyjemnym słodkawo-kwaśnym smakiem, nieco przypominającym smak znanych gruszek winiówek, ale wyobrażona na rysunku naszym gruszka, bardziéj jeszcze ma być soczystą i więcéj w smaku przyjemną. Nieznamy nazwy botanicznéj téj gruszki, ani też wiemy czy u nas w kraju jest hodowaną. Wystawa płodów gospodarstwa wiejskiego, która za dni kilkanaście ma się odbyć w Warszawie, zapewnie i ten gatunek gruszek da nam możność oglądać — ogrodnicy bowiem tutejsi, znani są ze skwapliwości w aklimatyzowaniu najcenniejszych nawet drzew owocowych.

— **W sprawie Drukarskiéj.** *Szanowny Redaktorze!* Przeczytawszy artykuł podpisany przez p. Ignacego Zawiszewskiego zamieszczony w Twojem piśmie Nr. 33, pośpieszam z odpowiedzią, licząc na łaskawą bezstronność jaką Redakcja odznacza się.

Nie będę tu wchodził w szczegółowy rozbiór czy artykuł p. Z. jest przez niego napisanym, boby tu ukazały się uzasadnione wątpliwości, opierające się na tem głównie, że na pierwszy rzut oka bije w oczy nieznajomość ustawy drukarskiéj i przebiegu wzmiankowanéj sessji, także niechcemy dotykać tego, że dawniéj p. Z. inaczéj dowodził, ale prawda, obecnie został dyspozytorem, to widzi wszystko przez różowe okulary.

Przystępujemy dc rzeczy i ważniejsze punkta pod numera bierzemy — i tak:

1). Artykuł nasz nazywa p. Z. na wstępie „Aktem oskarżenia Urzędu Starszych". Tak nie jest. My w artykule naszym przytoczyliśmy fakta, których doniosłość zna p. Z. Cios był silny, gdyż mówi p. Z., że warto odpowiedzieć na innéj drodze. Czemu niezaprzeczono poprostu ich prawdziwości! Tak byłoby logiczniéj!

2.) Mówi p. Z. „Najgorszy ten ptak co gniazdo swoje kala". Na to odpowiemy najprzód, że brak w artykule pańskim choćby prostych prawideł grzeczności, przyjętych w polemice; powtóre, że Gazeta *Warszawska* w Korrespondencji z Londynu, Nr. 115 (d. 28 Maja r. b.) powiada: „*Najbardziéj gorzkie prawdy, szyderstwa, wyrzuty, spotkać mogą objaśnienia, odpowiedzi, tłómaczenia, ale nie spotkają téj smarkaczowatéj wymówki, którą bowiem często spotykałem u nas, że tylko zły ptak kala własne gniazdo*". Spodziewamy się, że Redaktor główny Gazety Warszawskiéj, może w tym względzie uważanym być jako *powaga*, a myśl ta postępowa więcéj znaczy jak przestarzałe zdanie.

3). P. Z. powiada „Powinien również pamiętać" etc. Niecofamy teraz bynajmniéj tego cośmy powiedzieli w naszym artykule, gdyż Delegowany tak postąpił jak prawa wymagały; a także protokół ten podpisało zaledwie kilku interessowanych, a zachodzi wątpliwość czy oni stać mogą za cały skład Zgromadzenia, bo do tego nie otrzymali mandatu.

4). Później artykuł orzeka, że ja jako świeżo wypisany, dopiero na przyszłéj sessji mam prawo zabierać głos. Mylnem to jest. Delegowany po wręczeniu patentów, przytoczył mniéj więcéj te słowa. „Nowo-wypisani uznani zostają za skończonych techników i Towarzyszów, a więc Członków Zgromadzenia, jako tacy mają prawo podnoszenia głosu tam gdzie słuszność lub prawo wymagać będzie i wyrażanie opinji swojéj jest dlań świętym obowiązkiem. (Może autor artykułu tego niedosłyszał?)

5). Powtarzasz p. Z. moje słowa, „Po co ta komedja?" Inaczéj to zrozumiał Urząd Starszych, co dowodzi Kurenda z 15 Lipca, o któréj chyba pan wiedziéć nie chcesz.

6). Oświadczasz pan „rozmazywanie po pismach publicznych" i t. d. Odpowiadamy na to że: silni prawem nieustąpimy ani na krok od raz wytkniętego celu; zresztą p. Tuszewski w artykule zamieszczonym w Nr. 33-cim *Przeglą-*

du Tygodniowego, co innego o naszéj pracy mówi a p. Z. przyzna z nami, że p. Tuszewski stoi wysoko w gronie naszych pracowników (pod każdym względem).

7). Nakoniec [wyrażenie „że ja chcę być reformatorem sztuki drukarskiéj, nie ma *sensu*, sztuki reformować nie można tylko urządzenie zewnętrzne podpierającego ją ustroju, czyli praw Zgromadzenia, (słyszał p. Z., że dzwonią, ale nie wiedział w którym Kościele).

Spodziewamy się teraz, że pan Zawiszewski, drugi raz podpis oględniéj kłaść będzie i z namysłem. Jesteśmy przekonani, że sprawa nasza jest słuszną i prawną.

W odpowiedzi p. Z.widać tak rażącą sprzeczność, że doprawdy chyba wielkiemu brakowi uwagi przypisać ją musimy, bo kiedy na początku jest: *że artykuł mój godzien jest odpowiedzi* i t. d. (mówi tu p. Z. z przekonaniem), to na końcu: *że odpowiedzi nie wart jest*.

Z resztą zupełnie zapomniał niezastanawiający się autor, że nie o moją osobistość szło w artykule, tylko o słowa przezemnie wygłoszone.

Na tém poprzestajemy i zakończamy odpowieź na nieudatną *filipikę*, nadmieniając, że na żadne podobne insynuacje na téj tu drodze w przyszłości odpowiadać nie będziemy; z tego cośmy powiedzieli czytelnicy osądzić są wstanie, po czyjéj stronie jest słuszność.

Kazimierz Piotrowski
Towarzysz Sztuki Drukarskiéj,
Praktykant Preserski.

— Zkąd do nas przychodzi cholera i co dla jéj powstrzymania uczyniono? Klęska cholery, zbyt często nawiedzająca kraje Europy, pobudziła wszystkie umysły do szukania środków mogących postawić stanowczą zaporę przeciw coraz bardziéj szerzącemu się zniszczeniu dokonywanemu przez nią. Zwrócono się najprzód do medycyny, zdawało się bowiem: że ta w głębiach nauki, wpośród cudownych odkryć i wynalazków, z łatwością dopatrzéć zdoła środek mogący obezwładnić groźne siły nie znanéj dawniéj w Europie choroby; z żalem wszakże wyznać nam przychodzi, że pomimo wszelkich usiłowań, głębokich badań i bystrych poglądów, wszystkie podawane dotąd przez lekarzów sposoby, nie zdołały powstrzymać i opanować téj prawdziwéj plagi społeczeństwa. Już przeszło od lat dziesięciu ponętna nadgroda wynosząca 100000 franków przeznaczona przez Bréanta, dla lekarza, którego środki leczenia cholery lub jéj powstrzymania Akademja francuzka uzna za pewne i nieomylne, dotąd nikomu przyznaną nie została!...

W takim stanie rzeczy postanowiono dotrzeć do samego źródła złego i u niego szukać sposobów mogących je powstrzymać, lub przynajmniéj zmniejszyć jego działanie. Kommissja międzynarodowa, złożona z członków różnych krajów, dąży obecnie do wprowadzenia w wykonanie środków, mogących stawić zaporę cholerze na zwykłéj jéj drodze z Indji i Arabji do Europy. W tym celu władze angielskie, zwracają baczną uwagę na pielgrzymów udających się do Mekki, powiększono nadzór nad okrętami przewożącymi podróżnych z Dżeddach i Mekki, nadto we wszystkich portach morza Czerwonego ustanowiły rządy Turecki i Egipski oddzielne bióra, których obowiązkiem jest donosić natychmiast o pojawieniu się cholery, w celu przedsięwzięcia stosownych środków ostróżności, wszystko to wszakże byłoby bardzo mało znaczącem, gdyby nie starano się powstrzymać epidemji w głównem jéj siedlisku; jest niem, dolina Miny położona niedaleko Mekki.

Do grobu Proroka dążą corocznie tłumy wyznawców Islamizmu, lądem i morzem z trzech części świata; aby oddawszy cześć jego prochom, powrócić szczęśliwie do domów, lub umrzeć na ziemi świętéj. Cel tych corocznych pielgrzymek w zasadzie swojéj przedstawia się w bardzo pięknych kolorach, przewodniczy tu bowiem głównie idea religji machometańskiéj; lecz droga do niego wiodąca zgubne za sobą prowadzi następstwa.

Mekka otoczoną jest mnóstwem dolin z których najznaczniejsza wspomniana Miny; tu gromadzą się tłumy pielgrzymów w liczbie dochodzącéj niekiedy do 200000, w czasie krótkiego tu pobytu, zdrowie ich i życie wystawionem zostaje na najcięższe próby. Ogniste słońce Arabji, niedostatek wody, a częstokroć i żywności, brak właściwego urządzenia czasowych mieszkań, nieporządek i nieochędóstwo, do najwyższego posunięte stopnia, pozostawianie szczątek zwierząt na ofiarę zabijanych bez przykrycia ich ziemią; w skwarnym tym klimacie dawało zwykle początek wielu chorobom, wpośród których najstraszniéj srożyła się cholera. Doświadczenie przekonało, że nawet wtenczas gdy zarodki epidemji przybyły z pielgrzymami z Indji, tu ona dopiero nabiérała siły i gwałtowności, a przeniosłszy się do Europy największe szerzyła zniszczenie.

Podług raportu Dra. Fauvel zakomunikowanego Akademji medycznéj w Paryżu; poczyniono we wspomnianych dolinach wszystko co tylko zmierzać może do zachowania zdrowia i życia pobożnych wędrowców; w tym celu: oczyszczono dawne kanały doprowadzające wodę i wykopano mnóstwo nowych, urządzono doły w które wrzucone szczątki zwierząt ofiarnych przesypywane są wapnem, przeprowadzono wreszcie rowy i ścieki do oddalania nieczystości; dobre następstwa środków tak prostych i mało kosztownych okazały się w roku przeszłym. Wypadek niesłychany, w czasie trzy dniowych uroczystości religijnych, cholera wcale się nie pojawiła a na 110000 zebranych pielgrzymów zmarło tylko 40. Zdziwieni mahometanie, poznali dobroczynne następstwa hygienicznych urządzeń, wprowadzonych przez ich rząd, na przedstawienie Kommissyi między-narodowéj.

Cieszyć się możemy z dobroczynnych następstw jakie wydały usiłowania rządów, zmierzające do powstrzymania cholery w głównem jéj ognisku; jednakże podług opinji P: Fauvel, wszystko co dotąd zdziałano, nie jest jeszcze wystarczającem do stanowczego uniknienia złego; pozostała bowiem jeszcze bardzo szeroka droga, prowadząca swobodnie epidemję do nas; jest nią Egipt, stosunki handlowe tego kraju z jednéj strony z Europą z drugiéj z Azją, stawiają go w tych przykrych warunkach. Chcąc działać stanowczo należałoby wzbronić stosunków pielgrzymów z Egipcjanami i nie dozwolić wpływać okrętom wiozącym podróżnych z Mekki do portów morza Czerwonego, aż po ścisłem zbadaniu ich stanu sanitarnego; rząd egipski jednakże pomimo przyrzeczeń z swéj strony, nic zadawalniającego dotąd nie uczynił w téj mierze; można wszakże miéć nadzieję, że nalegania Kommissji odniosą wkrótce pożądany skutek.

Nasuwa się tu jeszcze bardzo uzasadniona kwestja: czy kanał Suezki zbliżywszy nas do Indji, nie ułatwia tem samem przybycia epidemji? Na to pytanie P. Fauvel odpowiada przecząco, utrzymując, że okręty płynące wprost z Indji pod tym względem nie przedstawiają wielkiego niebezpieczeństwa, cholera bowiem powstaje i rozwija się w najuboższéj klassie Indjan, nie wydalającéj się nigdy po za granice swojego kraju.

K. Milkuszyc.

Wydawca, Mieczyński Adam. — Дозволено Цензурою. — **Redaktor**, Oskar Stanisławski.

Drukiem Jana Psurskiego, ulica Niecała Nr. 12 nowy.